

Wspomnienie o Andrzeju Kołaczkowskim

W czasach szkolnych miałem mało kontaktów z Andrzejem, jakoś różniliśmy się w sposobie odbierania świata. Ale wiele lat później nasze ścieżki zaczęły się mocno płatać.

Już kilka lat po studiach spotkałem go w Tatrach, zimą na nartach. Powiedział, że jest z żoną i synem w Zakopanem. Podał adres pensjonatu, zaprosił na spotkanie. Polazłem. I niespodzianka – jego żoną okazała się być ... moja siostra stryjeczna, Wanda, nieco starsza od nas. Czas wojny, gdy jej ojciec siedział w oflagu w Woldenbergu, Wanda z bratem przeżyli u moich rodziców w Gołąbkach. Wkrótce później Andrzej z Wandą odwiedzili nas, już na Zaciśzu. Organizując dom, kupiliśmy w Cepelii piękne zasłony do okien, ręcznie malowane. Zobaczyli je i rozpoznali: to myśmy, powiedzieli, malowali je dla Cepelii, żeby łątać dziury w budżecie... Wiszą do dziś.

Wiele lat później zdarzył się jakiś zlot małych Fiatów w Rawie Mazowieckiej. Jako że naszym F126p Gran Turismo (miał trampki w bagażniku) docieraliśmy do granic cywilizacji europejskiej (Rzym, Monte Cassino, Mykeny, Olimpia, Troja, Efez, Sztambuł itp.), pojechaliśmy i tam. Na zlocie Andrzej był głównym szefem ze strony TVP, biegał z kamerą i rządził. No i dobrze.

Za Solidarności Andrzej musiał wiać z kraju. Już bez żony. Trafił do obozu, proponowano mu rzetelną pracę jako programista maszyn cyfrowych. Nauczył się języka, odbył długi i trudny kurs, zaczął pracować w Hanowerze jako programista maszyn

mainstreamowych w języku assemblera. Jak by nie patrzeć, jedno z trudniejszych zajęć w ówczesnym świecie techniki. Znalazł swoje powołanie i został przy tym, z nieukrywana dumą i zadowoleniem, aż do emerytury, swojej i maszyny, przez ponad ćwierć wieku. Ożenił się ponownie, z byłą baletnicą Opery Warszawskiej, która pracowała jako nauczycielka tańca w pobliskim Paderborn (100 km). Spotykali się w weekendy i byli szczęśliwi.

W latach 90' tak mi się złożyło, że co roku dojeżdżałem do pracy, raz czy dwa w roku, do Paryża. Po ówczesnych drogach jechało się dwa dni, a Hanower był równo w połowie dystansu. Jakoś trafiłem do Andrzeja, w wiosce pod Hanowerem. Przyjął mnie serdecznie, i potem, gdy mogłem, to po drodze do niego zaglądałem. Wtedy się naprawdę zaprzyjaźniliśmy i bardzo miło wspominam te spotkania, aczkolwiek nie były pozbawione pewnego kolorytu. Oczywiście w ówczesnej sytuacji długie nocne Polaków rozmowy były bardzo miłe i potrzebne, aż do dna Johny'ego Walkera, ale następnego dnia trzeba było jechać następne 1000 km... No, ale byliśmy młodzi. Raz się tam o dzień rozminąłem z Wojtkiem Szemetyłło.

Tam Andrzej mi zaimponował dwiema sprawami. Po pierwsze, po jego działalności w Polsce jako dziennikarz od spraw błahych i zbytecznych, wziął się za bary z assemblerem. Kto zna assembler, to zrozumie, że to naprawdę nie były żarty. Był ceniony w firmie, w późniejszych latach jako „dinozaur”, ostatni specjalista od jego starej, ale sprawnej maszyny. Wrósł autentycznie w niemieckie społeczeństwo, nawet wybrali go na radnego w jego wsi.

Po drugie, jego sposób na wakacje. Brał plecak, śpiwór, liofilizowaną żywność, palniki, jechał sleepingiem do północnej Szwecji. Tam na małej stacyjce wysiadał z pociągu i ruszał przez góry, przez bezludną pustkę, na trzytygodniową włóczęgę - rekolencje duchowe w samotności. No może niezupełnej: jak opowiadał, zdarzało się niekiedy spotkać człowieka. Nie to, żeby codziennie, ale czasem tak. Na koniec trafiał do luksusowego hotelu, kąpał się, wsiadał do sleepingu i wracał do swojej maszyny. Pisał o tym w Polsce, bodajże w „Sportowym Stylu”.

Później poniosło go na pielgrzymkę szlakiem Św. Jakuba do Santiago de Compostela. Miesiąc wędrówki, szlakami oznakowanymi jeszcze w średniowieczu, wśród ludzi takich jak on. Jak mówił, stwierdził, że zachodni skraj Europy podniósł się o parę metrów skutkiem błota naniesionego na butach pielgrzymów. Przewędrował, znalazł swoją prawdę – nawrócił się na wiarę chrześcijańską.

Po wędrówce - dostał ponoć pełny odpust grzechów czyśćcowych. Napisał o tym książkę, wydał ją u Dominikanów w Warszawie, promował ją na Targach Książki. Stoi u mnie na półce. Nie potrafię skomentować tej przemiany. Ale każdy ma prawo do swojej prawdy.

Ostatni raz spotkałem Andrzeja, na pogrzebie Wandy w 2017 roku. Porozmawialiśmy krótko, zbyt krótko, ale każdy z nas leciał za swoimi sprawami. Umówiliśmy się pobieżnie na następne spotkanie...

Jan Wojciechowski
11.10.2020.